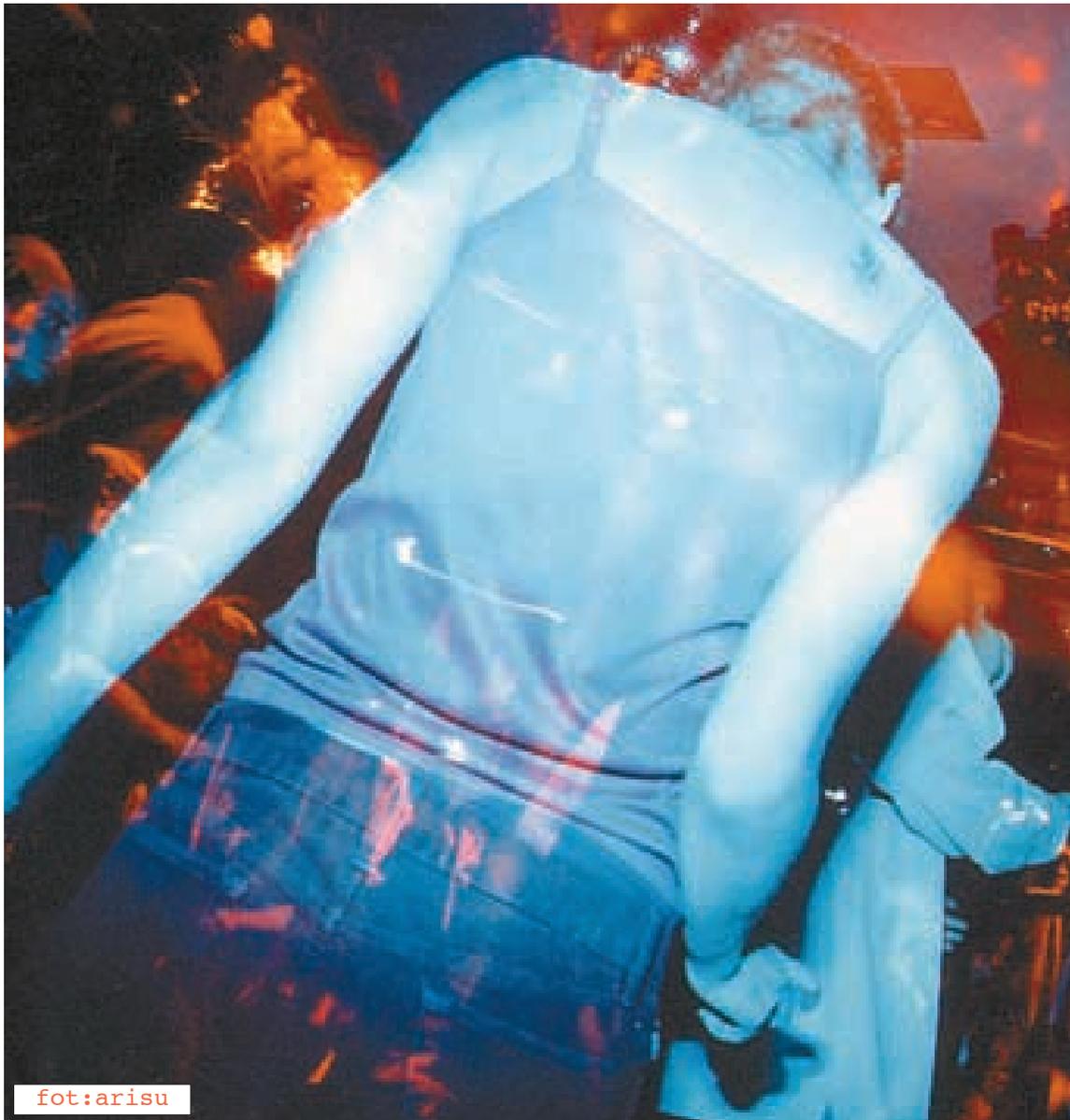


CYBER CORE #6



fot: arisu

postkultura

Intro

Witam ponownie!

po raz drugi w formacie pdf, w trochę zmienionym leżalście. Ten numer jest największy objętościowo i chyba najciekawszy z dotychczasowych. W środku wywiad z Laurą Pawełą - twórczynią reallaury i nie tylko, lans, Nieznalska, felieton Róży, kolejny mim, prolog powieści o picciu kawy, paleniu i pannach, tekst copleft o projektach open source poza środowiskiem programistów, pierwsza korespondencja z Chin, oraz towarzyszący jej tekst o postrzeganiu Chin przez Polaków, resentymenty i inne.

Dis

CC online: cybercore.republika.pl,
mailto: cybercore@gazeta.pl

Wszystkich chętnych do współtworzenia CyberCore zapraszam do współpracy. Interesują mnie zarówno teksty, jak i grafiki czy zdjęcia. Z chęcią zamieściłbym również ciekawy komiks, poezję lub prozę. Szukam także osób która podjęłaby się tłumaczeń i korekty.



Teksty są różne,
a poglądy autorów
są poglądami autorów.
myśl samodzielnie!

reallaura

czyli ściągnij mnie na komórkę



- W "manifestacji" reallaury piszesz o spamie, blokowaniu poczty przez adminów itp. Ciekawy jestem czy naprawdę wysyłasz swoje obrazki tym, którzy tego sobie nie życzą? Jeżeli tak, to jaki jest na nie odzew? Jaki jest ogólnie odzew na reallaurę? Czy uważasz ten projekt za sukces?

- Zaczynałam projekt od rozsyłania spamów, zbierałam adresy zewsząd (no, bliżej niż dalej artystycznego świata). Faktycznie nie pytałam o zgodę i robiłam to tak wrednie, jak przystało na spamowicza. Korzystałam z wrocławskich kawiarenek internetowych, niechcący zarażałam wirusami komputery odbiorców. Ale... ale w międzyczasie zmieniło się prawo polskie, a ja załatwiłam stałe łącze z powodu projektu. Teraz należy najpierw zapytać, potem rozesłać tylko chcącym! Po uprzednim zgody wyrażeniu. Tak więc i projekt się zmienił. Teraz chętni zapisują się sami. Dzięki wzmiankom w Rastrze „Aktivist, Hysterics” czy w przeróżnej prasie, ludzie sami wpadli na trop projektu. Nie ma już Reallaury w formie spamu, nie stać mnie na kary pieniężne. A bywało ostro :). Kilka galerii (nazw nie podam chociaż mnie korci...) zwróciło projekt z błotem, kilka słynnych polskich artystów poczuło się obrażonych. Kilka osób po prostu nie potrzebowało takich śmieci, i wcale się nie dziwię chociaż ja sama zbieram wszystkie art-spamy i bar-

Na wzmiankę o reallaurze trafiłem jak zwykle przypadkiem grzebiąc w archiwum Rastra. Po przejściu strony projektu oraz strony domowej autorki nie pozostało mi nic innego jak poprosić ją o odpowiedzi na parę pytań, a wam gorąco polecić wizytę na stronach www.reallaura.prv.pl i www.laurapawela.prv.pl.
Panie i panowie: Laura Pawela!

dzo je lubię. Poczcie też mi zablokowano kilkakrotnie, trudno wytłumaczyć wtedy, że ten artystyczny spam nie jest wcale spamem i pisząc "już teraz ściągnij" wcale do niczego nie namawiam (choć logo można ściągnąć, płaci się wtedy 2 zł, może złotówkę)... Jaki jest odzew??? Nie spodziewałam się tak dobrego przyjęcia projektu! Kiedy spróbowałam przerwać "reallaura" dostałam mnóstwo wiadomości z sugestią przemyślenia tej błędnej decyzji. I projekt po wakacjach został wznowiony :) Chyba jest niezłe, dla

S
p
a
m
a
r
t
?



mnie wystarczająco dobrze, skoro tyle osób się zainteresowało (około 400 odbiorców w mojej skrzynce!!!), dzięki temu mam pracę - projektuję komercyjne logo i grafiki (ha ha), projekt zaistniał jakoś tu i tam, kilka wystaw, kilka świetnych tekstów krytycznych, publikacji, mnóstwo nieznanymi znajomych :), fajne mejle... Sukces? od kilkunastu minut o tym piszę i się niepoprawnie chwalam :!!!! Największym sukcesem związanym z Reallaura były słowa "właśnie na takiego artystę czekaliśmy!!! żeby się w końcu sam wypromował, zmusił nas do oglądania swojej sztuki, wywiozł nas kuratorów na taczce z galerii".

- Twoje obrazki bardzo przypominają mi obrazki niejakiej Endo z komix.blog.pl.

- Znam Endo, a raczej znam jej prace i bardzo je lubię. Wpadłam na nie dosyć późno, prowadziłam już wtedy projekt Reallaura. Szczerze mówiąc ktoś podszeptał mi, że jest niejaką Endo, która myśli podobnie. Podobnie? Chyba oprócz komputerowego medium zastępującego rzeczywistość niewiele łączy nasze projekty. U Endo jest kolorowo, ja mam dwa kolory i kratki - niech będzie taka prosta różnica. Bardziej myślałam o telefonie komórkowym i smsie niż o internecie, bardziej o reality show i idolu niż o blogu. Wyszło trochę inaczej :). Jasne, można odebrać "reallaura" jako bloga, jako mailing, jako grafikę komputerową. Czasami jest rzeźbą, malarstwem albo instalacją... wiesz, trudno być unikatowym na wsi globalnej :) Ale nie pokusiłabym się o porównanie z Endo. Nie dlatego, że uważam się za stwórcę nowej jakości, ale po prostu nasuwają mi się zupełnie inne skojarzenia. Mimo wszystko widzę dwa różne od siebie projekty prowadzone przez dwie różne kobiety (może to jest podobieństwem?). Jakkolwiek, nie pierwszy pokójrzyłeś te dwa projekty, to całkiem miło.

- Czy znasz produkcję ze środowiska "praktykow netartu" (nnk.art.pl itp)? Jak to oceniasz?

- Znam, znam, znam. Ocena? oprócz kilku niezrozumiałych dla mnie wulgaresów, w porządku! Nie, "w porządku" to tak głupio brzmi. Baardzo fajnie, spędziłam z nnk mnóstwo cennego czasu!

- Reallaura jest dla mnie niejako powrotem do początków netartu (co to w ogóle jest netart, czy uważasz, że można tak zaszufłakować reallaurę?): e-mailartu będącego usieciowieniem mailartu. Dlaczego właśnie taki sposób dystrybucji? Czy znasz jakies polskie lub nie ciekawe projekty e-mailartowe?

- Całkiem niedawno uciełam krótką rozmówką mailową na temat tego, co to za gatunek ta reallaura. Ja się nad

tym nie zastanawiam, ale podobno to nie net-art (??? bo net art się rusza i jest interaktywny?), podobno to mailing-art. chociaż przecież net-art też potrafi być przesyłany na skrzynki... Nie wnikam, nie roztrząsam, nie kłóczę się. A chyba obecnie nastąpiła ta zmiana, że nie "mail art" a mailing, czyli nie od poczty tylko od e-mailowania... Ale na całe szczęście nie dbam o to, zawsze myślałam że działalność artystyczna w internecie jest rzeczonym net-artem, ale tak podobno nie jest. oczywiście nie będę się spierać z "netowcami" o przynależność mojego projektu :). Tak, nawiązuję do projektów mail-artu z lat 60 chociażby, z tą różnicą że dzięki technologii, dociera do większej liczby osób i jest w zasadzie nienamacalny (do momentu wydrukowania), wirtualny (co za słowo). No, właśnie, może ty mi powiesz co to jest net-art? Czy .swf na stronie to net-art? A może .txt rozesyłany znajomym? A może jakies dziwne dźwięki? Ja nie wiem :) Nie znoszę takiego szeregowania, zabawy w przynależność prawie subkulturową, kurczowego trzymania się jakiejś zasady mgliście ustalonej. Jeśli mam ochotę na malarstwo, to maluję, jak mam ochotę przesłać spama mejlem to go przesyłam. Reallaura może być zarówno net-artem, blogiem, mailingiem jak i malarstwem (zob. moja strona). Dlaczego taki sposób dystrybucji reallaura? jest to obecnie najprostszy i najtańszy sposób trafienia pod ogromną ilość adresów, nawet nieznanymi osobami (tak, jak miało to miejsce na początku projektu), jest to sposób sprzedawania swoich produktów wykorzystywany przez reklamę. I do takiego wciskania nam niechcianego produktu do skrzynek chciałam nawiązać. Miałam się zareklamować, w chamski sposób wwiercając się tu i tam, miałam być reklamą. Podziałało? Reallaura jest także projektem komórkowym, jeśli by dbać o nazewnictwo, to mobil-art? phone-art? mobil-phone-art? komórkoart? Znasz coś podobnego?

Trochę dostaję tego nieszczęsnego mailingu nie będącego net-artem, najbardziej cenię CO2.mailing.art Sebastiana Cichockiego. Jeśli ktoś chce mi wysyłać swój mailing, nawet ciężkawy, byle czysty, to proszę bardzo: laurapawela@o2.pl

- Interesują mnie również technikalnia. Tzn. w jaki technicznie sposób powstają te obrazki.

- Każdy obrazek powstaje w Photoshopie. Jak nie trudno zauważyć, niewiele ma wspólnego ze specyfikacjami stosowanymi przy tworzeniu prawdziwych grafik do telefonu (no, może tyle że kratki i że .gif i że prostokąt). Choć zbliżony do telefonicznej grafiki, wykorzystujący tę konwencję, obrazek jest sporo razy większy niż powinien. Pomijając



ją reallaura do telefonu, ale to już inna historia...Jak to robie? Prosto, chociaż pochłania to mnóstwo czasu. Na półprzezroczystym zdjęciu układam kratki :, czyli kratka po kratce, kilka godzin:), stąd tak żądka wysyłane odcinki. Jeśli myślałeś, że mam jakiś sprytny filtr...:) Wykonując logo do telefonu nie pozostawia się tych pustych pól pomiędzy kratkami, co jest o wiele szybsze i prostsze, ale ja chciałam imitować obraz już z wyświetlacza komórki. Jak pisałam wcześniej, pracuję przy projektowaniu grafik do komórek :, reallaura to teraz taki projekt dla nabrania świeżego oddechu :)

- Wróćmy jeszcze do twoich wcześniejszych prac. Czy mogłabyś w paru słowach napisać co chciałaś przekazać przez obrazy z oknami dialogowymi i fragmentami okienek? Jaki był ich odbiór?

- Odbiór skrajnie różny, od utożsamiania się z tekstem na obrazku i zachwytu po obelgi w prasie poznańskiej i przede wszystkim brak odbioru. Nie wiem czy wykonując kolejne prace myślę pod kontem przekazywania czegośkolwiek. te obrazy to trochę takie działania skojarzeniowe: komputer wysyła sygnały - człowiek je odbiera.a co gdyby nagle komputer wysłał komunikat dotyczący Twojego życia prywatnego? a jeśli ja zaczęłabym nagle rozmawiać z Tobą w formacie .doc? Zbliżenie człowieka do maszyny komputerowej bardzo mnie inspirowało (inspiruje?), ta miłość do naszych prywatnych pecetów, to poświęcanie im całego wolnego czasu! Sama spędzam z komputerem więcej czasu niż z człowiekiem. No i graficzna strona systemu, te granatowo-szare okienka z białym napisem, które pomija się przemalowując kolejny obrazek z komputera... zainspirowały mnie też błędy maszyny popełniane nieżadko i wyświetlane jako komunikat "nie można write the file ponieważ...", długo by gadać...

- W projektach "czykrytkmniekupi" i "wykroju" poruszasz temat siebie jako towaru, przedmiotu. Robisz to poprzez "wystawienie" własnego ciała.

- ha ha...choć wspomniane projekty mają są już lekko przykurzone robie to nadal, ciągle się wystawiam w różnych projektach i zawsze mówię, że to już ostatni raz. A jednak dużo moich "potworków" nosi znamiona wystawiania się niemal na sprzedaż. jest coś okropnie atrakcyjnego

w pokazywaniu siebie, obserwując artystów łatwo to dostrzec (na ogromnej ilości płócien młodych malarzy są oni sami!). nic dziwnego, w świecie konsumpcji (wyświechtane już nieco sformułowanie :) dostrzega się tą "towarowość" wszystkiego, ja jestem towarem, moja sztuka nim jest, moje ulubione lody jogurtowe..."wykroj mojego ciała" to prosta rzecz, kroisz, szyjesz i masz mnie. "czykrytkmniekupi" dotyczyło bycia produktem dla kuratora i krytyka, postawiłam pytanie i pozbierałam trochę drobnych dla ewentualnego nabywcy aby mu ułatwić sprawę. W naszym kraju tak się dziwnie wszystko układa, że ważniejsze jest zawsze słowo krytyka i zaproszenie kuratora, niż sam artysta. Artysta jest na samym końcu, ma dostarczyć w miarę dobry towar, żeby wszyscy mieli za co otrzymać kolejną pensyjkę. Artsta pracuje gratis i powinien się ogromnie cieszyć ,że może poszerzyć swoje cv o kolejny wpis (co doprowadziło artystów do biegania za tymi wpisami a galerie przyzwyczało do wygody polegającej na niewydawaniu złotówki "na artystę"). Bezpośrednio nigdy ciała swojego nie wystawiłam i nie planuję :)



(...) Projekt internetowy "REALLAURA" zainspirowany został modą na dzwonki, logo i wyświetlacze do telefonów komórkowych. Posłużyłam się konwencją logo dla obrazowania swojej osobistej rzeczywistości. Projekt mój polega na rozsyłaniu do bardzo wielu adresatów skrzynek internetowych pseudo-reklamy mojego logo, które wysyłane w odcinkach tworzy swoisty telefoniczo-internetowy reality-show. Postanowiłam zainteresować odbiorców swoją osobą jako rewelacyjnym produktem , serialem, obrazkiem, skandalem (?), stać się mega-idolem użytkowników telefonów komórkowych, mój projekt ma wręcz drażnić, jak drażnią nas reklamy nowych produktów wysyłane nam na nasze adresy elektroniczne, ma zapychać skrzynki, doprowadzać do przeróżnych reakcji, śmieszyć....

tosamoodnowa

Każdego, kto chciałby się dowiedzieć, dlaczego polska sztuka, kinematografia, moda etc. idzie do przodu aż tak wolno, zachęcam, żeby najpierw zapoznał się z pełniącym rolę kulturo- i opiniotwórczą programem - najlepiej świątecznym - publicznej telewizji, potem prześledził listę nazwisk prowadzących programy oraz ich szlachetnych gości. Jeśli jeszcze będzie mu mało, przejrzał notowania list przebojów filmowych i muzycznych.

Jeśli w uroczystej ramówce nie znajdzie się któraś część serii „Jak rozpetąłem drugą wojnę światową” / „Sami swoi” / „Zezowate szczęście”, powtórka benefitu sprzed 4 lat Jacka Fedorowicza / Zbigniewa Wodeckiego / Haliny Frąckowiak, zleżały mocno, ale dziarsko odgrzany kabaret Olgi Lipińskiej oraz jakakolwiek „Maryla Biesiadna” - stawiam piwo. No chyba, że będzie to smutna lub wymagająca refleksji rocznika - wtedy na murbe-ton na antenie zagości „Człowiek z marmuru (albo żelaza)” i „Popiół i diament”.

Nie inaczej dzieje się w stacjach komercyjnych. Te same teleturnieje, ci sami prowadzący, te same gwiazdy programu. Niedługo - za sprawą zasłużonej gwiazdy programów typu reality show i bohaterki rozkładówki Playboya, niejkiej Agnieszki Frykowskiej - także etaty skandalistów będą długotrwałe obsadzone.

Smutna prawda jest taka, że naszą kulturą - nie tylko masową - rządzą schematy (pieszczotliwie zwane starymi, dobrymi wzorcami) oraz wielopokoleniowe, nieśmiertelne klany Walterów, Dowborów, Młynarskich i Olbrychskich. Pół biedy, jeśli mamy do czynienia z utalentowanym dzieckiem utalentowanych rodziców, tak jak w przypadku mistrzyni pióra, Agaty Passent czy muzyka Mateusza Waglewskiego znanego jako Fisz. Ale co począć, gdy do głosu dochodzi dziedzictwo tandety? Kiedy jury któregoś z zeszłorocznych festiwali wyróżniło zespół syna niejkiego obywatela Cugowskiego, zadrżałam, a moje przerażenie stało się jeszcze większe, gdy uświadomiłam sobie, że laureat jest w wieku reprodukcyjnym.

Co gorsza ta nuda jest nieśmiertelna i wszechobecna i rozprzestrzenia się na wszystkie dziedziny życia. Byłam wczoraj na zakupach. I wiecie co? Jeśli te same fasony spodni, spódnice i sukienek nie wiszą już na wieszakach trzeci rok, możecie mi obciąć obie dłonie, zabrać klawiaturę a mój komputer odłączyć od Sieci. Najbardziej zdruzgotana wyszłam ze stoiska Hofflandu w warszawskiej Galerii Centrum. Pani Barbara Hoff (a może któraś z jej latorośli) w ogóle nie przyjęła do wiadomości, że lata 80, kiedy to każde wdzianko, które było czarne lub ciemnoszare, niezależnie od fasonu czy jakości materiału, uchodziło za rarytas godny tego, by odstąć „za nim” nawet trzy godziny w pulsującym niecierpliwością ogonku kontestatorów buraczkowych bistorów.



Animatorzy kultury powinni przejść długą i daleką drogę, a najlepiej, by zastąpili ich nowi. Tylko nikt nie da nam gwarancji, że ci nowi nie będą dziećmi tych wcześniejszych i nie zechcą promować swoich dzieci i ich dzieci.

Ale nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że Polacy to wszystko kupują. I nie mówię tutaj tylko o masakrycznych przyodziewkach z Hofflandu czy kolejnych płytach Budki Suflera, na których ta sama piosenka, opowiadająca mniej więcej o tym samym, jest niemiłosiernie multiplikowana w rozmaitych aranżacjach. Albo o głosach oddanych w wyborach na pana Gierka Juniora. Najgorsza jest wiara Polaków, że to, co znane, jest dobre, bo sprawdzone. Niezmiennie napawają mnie lękiem osoby, które siedem razy widziały musical „Metro” w pierwszej obsadzie i cztery razy w drugiej albo imprezy, na których atrakcją wieczoru ma być oglądanie „Rejsu” albo filmów Stanisława Barei. A także produkty spożywcze oznaczone metkami „dobre, bo polskie” i reklamy, które przekonują, że rosół w kostce firmy Winiary, jest ulubionym produktem kulinarnym Polaków (w domyśle: „a społeczeństwo nasze nieomylnym jest”), wszyscy pasażerowie samolotu zaopatrzyli się za radą Goździkowej w Etopiryne, a Polopiryna C bije na głowę wszystkie inne lekarstwa.

Jak mamy wyjść poza stereotyp skansenu Europy, jeśli wciąż kręcimy się w kółko? Nie chodzi mi o to, że we współczesnej kulturze nie ma miejsca dla „Człowieka z marmuru” czy „Popiołu i diamentu”, bo to nieprawda. Owszem, jest dla nich miejsce. Ale nie wśród hitów ramówek, tylko wśród pozycji, z którymi szkoła lub rodzice powinni zapoznać młodych ludzi w celach edukacyjnych. Jest dla nich miejsce na półkach szkolnych bibliotek czy wypożyczalni kaset wideo. A nie w głównym nurcie współczesnej kultury, który tymczasem - wbrew wszelkiej logice - skazuje na banicję nowatorów takich jak Grzegorz Jarzyna, Krystin Lupa, Agnieszka Glińska czy innych niezależnych twórców, a starociom z lamusa przyznaje status pereł wciskanych w odbiorców z uporem godnym lepszej sprawy.

Sporo wody upłynie w Wiśle, zanim nowe zacznie zastępować stare. Animatorzy kultury powinni przejść długą i daleką drogę, a najlepiej, by zastąpili ich nowi. Taki jest naturalny cykl w społeczeństwach rozwiniętych. Tylko - ponieważ jesteśmy w Polsce - nikt nie da nam gwarancji, że ci nowi nie będą dziećmi tych wcześniejszych i nie zechcą promować swoich dzieci i ich dzieci, a wszystko to w oparciu o stare, dobre wzorce. Być może szansą dla naszej kultury jest wejście do Unii Europejskiej i zderzenie tamtejszego do przodu z naszym wstecz i konieczność nadrobienia zaległości. Na razie mój tata, słysząc z telewizora „Po raz pierwszy w polskiej telewizji...”, dodaje kąśliwie: „no, ale jak już raz puszcza...”, a ja po raz kolejny utwierdzam się w przekonaniu, że zakup DVD do komputera zamiast nabycia pudła telewizora w salonie, to najlepsze rozwiązanie. Bo póki co, sama wobec siebie misję kulturotwórczą spełnię najlepiej.

Róża
roza_s@poczta.wp.pl
kizia.blog.pl

36 razy lans



From: lans.blog.pl

Kto chce pisać o lansowaniu, nie może nie sięgnąć do pierwszego opublikowanego opisu tego malowniczego zjawiska, który w magazynie GW zamieścił Bartłomiej Chęciński (noweslowa@gazeta.pl 03-04-2003 01:00). Mówią, że terminu naukowego „lans” po raz pierwszy publicznie użył raper TEDE z 3H (w ten oto sposób po raz pierwszy w życiu zacytowałem jakiegoś rapera, w dodatku z Warszawy). Wyraz ten w zasadzie już dawno się przejadł i wyszedł z mody, ale słowa przychodzą i odchodzą, a zjawiska pozostają.

Nie twierdzą, że lans jest czymś bezwzględnie złym. Wynika z bardzo ludzkiej potrzeby bycia zauważonym, uznanym, chwalonym - czyli z pożądanego określenia rodzaju. W tym sensie sam go z upodobaniem stosuje, czego dowodem m.in. niniejszy tekst. Niektóre ciekawe idee pozostałyby wręcz nieznanymi gdyby nie konieczna doza lansu ze strony ich nosicieli. Mimo to są pewne granice - wyznaczone przez punkt, w którym chęć dzielenia się tym, co się odkryło, co się uważa za ważne i warte przekazania innym, ustępuje żądzy bezkrytycznej prezentacji własnego ego. Innymi słowy: im większa przewaga samej osoby proponującego treść nad proponowaną treścią, tym lans bardziej zbliżony do swej klasycznej, negatywnej definicji („eksponowanie siebie samego niezależnie od tego, czy ma się na dany temat coś ciekawego do powiedzenia”), więc tym bardziej nieznośny.

Czasem nie jest łatwo odróżnić autolans od rzetelnie prowadzonej dyskusji. Wystarczy, że ktoś dobrze opanował temat, na który zabiera głos, albo stosuje ściślejszą niż inni logikę, żeby u części zawistnej publiczności wywołał wrażenie, że prezentuje samego siebie, a nie swoje myśli czy stanowisko. Dlatego zagubionym dostarczamy wskazówki - jeśli zabierający głos szanuje współuczestników dialogu, nie stara się ich poniżyć ani obrazić i potrafi przyznać, że rację może mieć także ktoś inny, kto reprezentuje przeciw-

ny pogląd - najprawdopodobniej chodzi o rzetelną debatę, a nie o lans. Zauważmy jednak, że skrajna forma takiej sytuacji oznacza, że dana osoba nie odpowiada inwetywami na inwetywy i woli zamilknąć, niż wdać się w pyskawkę poniżej pewnego minimalnego poziomu. W końcu w skali masowej okazuje się więc, że milczą wszyscy, którzy mają rację, a szaleją nadęte bałwany (spokojnie, to tylko opis burzy morskiej).

Z powyższego względu pewne minimum lansu jest konieczne dla zachowania ludzkiej cywilizacji od upadku i triumfu troglodytów, który i tak cyklicznie następuje i nic nie można na to poradzić. Można jedynie próbować spowolnić ruch tego kręgu, co właśnie robimy. Kontynuujemy.

Nieomyślną wskazówką, że czyjś sterownik centralny ustawiony jest na pozycji „lans. cała naprzód!” jest taki fenomen, że ktoś napisze coś głupiego, i zaraz po reakcji niektórych może się doskonale zorientować, że było to nie dość, że bez sensu (bo to akurat nie jest żaden zarzut - na ogół mówi się i pisze bez sensu; twierdzą to o większości gatunku ludzkiego, siebie nie wyłączając), ale przede wszystkim obraźliwe, niegrzeczne, poniżające, wulgarnie itp. (n.b. takiej ocenie podlegają także wypowiedzi nie mające wcale takich intencji, ale to osobna sprawa)... Więc - nachrzanił i odbiera sygnały, że nachrzanił. Lecz coż czyni dalej? Czy rzuca nieśmiało, ale słyszalne ‘przepraszam’ i znika na jakiś czas? Czy może chociaż odrobinę się wycofuje? Ależ bynajmniej. Powiększa gafę do rozmiarów kosmicznych, trąbiąc o niej na prawo i lewo i gorączkowo dorabiając ideologię dzierganą coraz bardziej widocznym wysiłkiem. Zamiast się przynajmniej zamknąć i nie pogarszać swego położenia. Doprawdy, osobliwe.

Przekraczający wyżej opisaną granicę lansu naraża się na opinię przedstawiciela licznego regimentu lansjerów (różnej szarzy, w zależności od zasług) lub, w skrajnych przypadkach, samego rycerza Lancelota (legendarnego ojca

1

a

n

s

wszystkich lansjerów - prawdopodobnie ze względu na jego skuteczność, ponieważ uprawiany przezeń lans zaowocował powszechnym przekonaniem, że był to rycerz ze wszystkich najszlachetniejszy, a przecież wiadomo, że najszlachetniejsi i najlepsi umierają najszybciej i bez rozgłosu, a historia zapomina o nich natychmiast i na długo).

Podsumowując - oto wstępny zarys typologii lansu (ściślej - autolansu, czyli techniki wywyższania własnej osoby), która powstała skutkiem zapoznania się z treścią (lub jej brakiem) wielu blogów i wpisów forumowych i czatowych, pochłoniętych w (stanowczo zbyt) krótkim czasie przez mój aparat poznawczy:

1. lans bezpośredni

czyli: „jestem wspaniały(a)” - wprost, bez ogródek (i można by napisać, że „bezpretensjonalnie”, gdyby nie chodziło właśnie o pretensjonalność zjawiska lansu en masse - początkujących czytelników od razu przepraszamy za użycie zwrotu obcojęzycznego spoza utartego źródła - ulicznej angielszczyzny w wersji afroamerykańskiej). Klasyczną parodią tej odmiany jest np. modelowy „milusio-fajniusio.blog.pl”. Niektórzy jednak uprawiają ją całkowicie serio i ani się zająknąwszy, przykładem... zresztą, po co przykłady. Każdy sam widzi. Odmiana ta krzewi się także na sposób lustrzany, czyli przez zastosowanie opisu wrażenia, jakie osoba lub czyn lansującej się osoby wywarły (lub dopiero mają wyrzeć) na otoczeniu.

2. pośredni

w tej metodzie wyróżniamy dwie zasadnicze odmiany:

a) antynomiczny czyli przez kontrast Odmiana w porównaniu z typem pierwszym nieco bardziej wyszukana, wg modelu: „całe to towarzystwo to dno” (wg lansjera lub lansjerki wyrażenie takiej opinii ma go/ją pozytywnie wyróżnić spośród źle ocenionej grupy jako tę perłę jaśniejącą wśród pomyj przeznaczonych dla trzody chlewnej, względnie jako ten dyjament wśród popiołu się skrzący, że tak powiem poetycznie); nader częsty np. na masowych czatach (.wp, .onet - długo tam nie wytrzymałem, ale nauka wymaga ofiar, więc parę minut pobylem), gdzie nowo pojawiający się (zazwyczaj młodociany) osobnik rozpoczyna karierę couseura (znów przepraszamy itd.) od głębokiego stwierdzenia: „ale tu nudno!”. Tego rodzaju odmianę pośrednią z zamiłowaniem stosują stworzenia, które wytworzyły układ nerwowy bardziej złożony niż zwolennicy lansu bezpośredniego, ale nie na tyle, by się zamaskować skuteczniej. Ów poziom uorganizowania odpowiada mniej więcej skąposzczetom, a konkretnie - dżdżowniczy (czyli aż dwa zwoje nerwowe i jedna nitka). Lans pośredni najczęściej występuje w postaci

ocerniania kogoś innego celem przedstawienia w korzystnym świetle samego siebie, na podstawie nieuzasadnionego ale powszechnego domysłu, że oceniający musi być lepszy od ocenianego, skoro go ocenia. Oczywiście nie każda negatywna wypowiedź na temat cech czy dokonań innych jest autolansem, ale po bardziej wnikliwym zbadaniu okazuje się, że zaskakująco duży odsetek różnych wypowiedzi ma podłoże lansogenne (typu „zobaczcie, oni taki brzydki, a ja przy nim taki fajny”). Można zaryzykować hipotezę, że im więcej negatywnych komunikatów o innych, tym większa skłonność ich autora do autolansu.

b) indukcyjny czyli na zasadzie: „przykleiło się gównu do okrętu i mówi: - Płyniemy!”. W tej metodzie nie tracimy energii na wyważanie otwartych drzwi, lecz wykorzystujemy osiągnięcia innych, wystarczająco uznane i szpanerskie, aby w pożądanym przez nas obrazie świata mogły zadziałać jako lans. Innymi słowy, jest to wyróżnianie samego siebie za pomocą popierania lub chwaleń innych (osób, zjawisk, idei). Można przykleić się do jakiegoś poglądu lub całego systemu poglądów i uznać go za własny (przejęte poglądy mogą być wzajemnie ze sobą sprzeczne, to nic nie szkodzi - dzięki temu „światopogląd” będzie wyglądał bardziej intrygująco) albo przykleić się do jakiejś postaci z życia publicznego (obecnego lub przeszłego) i lansując tę postać, lansować siebie. W ten sposób niektórzy mniemani internetowi Neue Wilde lansują się na Timothy’ego Leary, a mniemani antyglobaliści na Che Guevarę (był kiedyś taki terrorysta; wyróżniał się tym, że nosił twarżowy berecik i był fotogeniczny). Tu przypomina się nam pewna nasza koleżanka, która w czasach złodowacenia ideologicznego (czwartorzęd, wczesny jaruzelit) miała opanowane 3 tematy: 1) schizofrenia (Kepiński, Krzysztoń), 2) Stachura („Się” itd.), oraz 3) Witkacy (biografia, „622 upadki Bunga” itd.). Tylko te trzy, ale perfekcyjnie. Każdą towarzyską rozmowę wystarczało jedynie skierować na któryś z trzech uprzednio utartych szlaków, a dalej leciało już samo aż do końcowego bycia uznaną za skończoną erudytkę.

Redakcja z pewnością życzliwie ustosunkuje się do nadsyłanych przez odbiorców uzupełnień i propozycji nowych klasyfikacji lansu. Rozwijanie tej specjalistycznej dziedziny wymaga bowiem wielu dalszych badań, których zakres przekracza skromne możliwości autora. A teraz, wnikliwy czytelniku (lub uważna czytelniczko), zagadka na podstawie powyższego tekstu: ile razy i jaką metodą dokonano w nim autolansu? (Podpowiedź: termin „lans” w różnych odmianach został użyty 36 razy)

ireo

re.kłama

Nie komercyjny Magazyn Internetowy USER istnieje już od ponad roku. W tym czasie zdarzyliśmy już wydać kilkanaście numerów, dobrych numerów, którymi zagwarantowaliśmy sobie np. stałe miejsce na płytach magazynu CD-Action i uznanie czytelników.

Magazyn podzielony jest na dwa zasadnicze działy. Pierwszy traktuje o wszystkim co związane ze światem komputerów. Zatem znajdziecie w nim nowości z eŚwiata, poradniki, zapowiedzi i recenzje gier oraz programów. Druga część magazynu to dział pt. Cooltura, a w nim recenzje filmów, książek i muzyki, przemyślenia, kącik fantasy i coś do pośmiania się. Od czasu do czasu pojawiają się także konkursy z nagrodami, a to dzięki współpracy z takimi firmami jak wydawnictwo Helion.

Słowem, zamówcie prenumeratę bo naprawdę warto.

www.usermag.fiv.pl

Witajcie w Szanghaju, czyli symetria i bałagan

W zasadzie zachwyci was wszystko. Wystarczy, że wyładujecie w Szanghaju, na potężnym lotnisku Pudong. Czystość, porządek, symetria... cisza, tak nawet cisza, mimo, iż jest to ogromny port lotniczy, panuje tu magiczna cisza i harmonia (w tle słyszysz delikatne brzmienie chińskiej muzyki). Dzięki temu wicie, że nie jesteście już w Warszawie, Frankfurtcie, Moskwie, czy Paryżu, tylko w Szanghaju, w Chinach, w Azji.

Droga z lotniska, również będzie zagadką dla Polaka. Dlaczego? Ciężko w niej znaleźć jakiegokolwiek uszkodzenia, dziury, a wzdłuż niej biegnie cały czas pas zieleni. Pewnie myślicie o żywopłocie, niezupełnie tutaj jest to troszkę bardziej skomplikowane: kwiaty, palmy, pnącza... wszystko kolorowe, zwłaszcza wiosną i latem.

Szanghaj to miasto potężne. Nie myślcie tu o ogromnych wieżowcach, bo tych jest tu tylko kilka i to w samym centrum. Już w taksówce z lotniska zauważycie, że nie ma tu takich drapaczy-chmur, więc nie nastawiajcie się na to, bo się tylko rozczarujecie. To metropolia, która rozrosła się przestrzennie, w szerz, a nie w wzniosłość. Po chwili zorientujecie się jednak, że tak do końca to wszystko pięknie nie wygląda. Pośród bloków mieszkalnych, zauważycie osiedla domków, kilku piętrowych. A tam... szarość, zwykłość, codzienność i suszące się gacie za oknem. Dokładnie tak to wygląda, najpiękniejsze są tylko najważniejsze trakty komunikacyjne. Gdy zapyścicie się głębiej w Szanghaj, zobaczycie miasto, które momentami przypomina szarą Warszawę lat 80-tych. Ale nie patrzcie na to co zwykle, szukajcie magii Szanghaju.

Na pewno warto zwrócić uwagę na ruch rowerowy, i w ogóle na ruch uliczny. Wygrywa silniejszy, więc nie myślcie, że jako pieszy, macie pierwszeństwo na pasach. Hierarchia jest taka (zresztą dotyczy to całych Chin, może z wyjątkiem Hong Kongu) duża ciężarówka, typowy TIR - autobus - mała ciężarówka - minibus - samochód osobowy - motor - motorower - rower - pieszy z wózkiem - pieszy bez wózka. Nie żartuję, bo tak w skrócie można opisać pierwszeństwo przejazdu. Jeżeli taksówkarz, który wiezie was przez Szanghaj nie trąbi, oznacza to, że: albo jest Polakiem, albo Niemcem, albo



jest pijany, albo wypalił za dużo opium w weekend. Trąbienie, wymuszanie pierwszeństwa to chleb powszedni. Wracając do rowerów, to niech was nie dziwi widok żołnierza w mundurze jadącego do pracy rowerem, albo innego „mundurowego”, bo to u nas rzecz, co tu dużo mówić dziwna. A Holandia wcale nie jest krajem rowerzystów, sprawdźcie ile jest rowerów w samym Szanghaju.

Niestety, ale w przeciętnym 3, 4 gwiazdkowym hotelu w Szanghaju (poza centrum miasta) ciężko porozumieć się po angielsku, a już w ogóle nie mówią po polsku. Mimo to, obsługa jest bardzo gościnna, naturalna i usłużna. Nie miałem okazji poznać wielu ludzi z tego miasta, więc trudno uogólniać, ale przynajmniej ci, których znam są bardzo mili, gościnni, weseli i przede wszystkim naturalni, niczego nie udają, nikogo nie grają.

Szanghaj z pewnością zachwyci, zachwyci swą wielkością, potęgą, a także kontrastami, ale o tych kontrastach do wiecie się w następnym artykule.

Bartłomiej Magierowski
(bartek@monpol.pl)

巴的客

e
m
a
i
l
e
m
z
c
h
i
nch
i
n
y
cd

Wielki mur, psy i trampki

Chiny to jedna z najstarszych istniejących cywilizacji, która pozostawiła ogromne dziedzictwo kulturowe. Co roku odwiedzają ją rzesze turystów, których zachwyci architekturą i krajobrazem. „Od dwudziestu lat Chiny cechuje szybki rozwój gospodarczy, a zachodzące zmiany są widoczne na każdym miejscu” - możemy przeczytać na jednej ze stron internetowych. Jednak to także kraj, w którym od dawna panuje komunistyczny ład i porządek. Ks. prof. Roman Malko - sinolog, w jednym z wywiadów stwierdza: „Chińczycy w ogóle nie mówią o tolerancji, po prostu nie używają tego określenia. To kraj na skraju anarchii”. Co myślimy o nim my - Polacy? Czy coś nas do niego przyciąga? A wresz-

cie jak duża jest różnica między tym co wiemy, a jak jest naprawdę?

Niemal każdy kraj kojarzy nam się z czymś dla siebie charakterystycznym: Francja z Wieżą Eiffla, Indie ze słoniami, a Rosja z długą i mroźną zimą. Nie inaczej jest w przypadku Chin. „Symbolem Chin jest Wielki Mur - świadectwo zamiłowania Chińczyków do sztuki” - mówi Maria Smyczek, nauczycielka j.polskiego. Tak też twierdzi większość z nas. Ta jedyna widoczna z kosmosu budowla, przecież nie bez podstaw jest zaliczana do wybitnych osiągnięć ludzkości. Pomimo upływu czasu wciąż fascynuje i przyciąga uwagę. Ale czy znamy jeszcze ja-

kieś inne osiągnięcia Chińczyków? Okazuje się, że tak. „Papier, druk, porcelana, jedwab...” - wymienia pani Maria i oczywiście ma rację. Papier i druk Chińczycy wynaleźli w II wieku n.e.. Produkcja jedwabiu i ceramika zaczęły się rozwijać później. Powstawały porcelanowe naczynia zdobione chińskimi wzorami (chinoserie) przedstawiającymi roślinność, smoki, ptaki czy postacie. „Często kupuję tak zdobione wazony” - mówi nastoletnia Angelika. „A ja spódnice z jedwabiu, dlatego z chęcią zwiedziłabym muzeum jedwabiu i ogrody w Suzhou” - dodaje pani Maria. Inni za główną atrakcję Chin, zaraz po Murze Chińskim, uważają Klasztor Shaolin. Zdziwienie budzą wyniki ankiety przeprowadzonej na jednej z stron internetowych. Według niej 70% badanych osób zadeklarowało chęć zamieszkania na rok w tym klasztorze. Ciekawe czy rzeczywiście tyle by wytrzymali? Smutną prawdą jest, że nawet nie potrafimy wymienić przynajmniej dwóch chińskich sztuk walki. Ostatnio możemy zobaczyć, że coraz częściej Amerykanie korzystają z pomocy Chińczyków i ich metod przy kręceniu sekwencji walk (np. Matrix), chociaż zazwyczaj Chińczycy aktorzy na przykład Jackie Chan czy Jet Li to właśnie w Stanach próbowali szczęścia...

Ponieważ w ostatnim czasie w Europie stała się popularna chińska kuchnia, również ją zaliczamy do symboli tego kraju. Praktycznie nie ma osoby, która nie kojarzy jej z ryżem i pączkami. Dopiero później przypomina nam się o rybach, mięsie i warzywach czy „tofu” (potrawie z soi). Jednak wbrew naszym przekonaniom obecność ryżu na stole nie jest wcale obowiązkowa. Poproszenie o niego w czasie eleganckiego obiadu może zostać odebrane jako brak dobrego wychowania. Ryż stanowi podstawę jedzenia niższych grup społecznych, a jeśli poprosimy o niego w czasie przyjęcia będzie to oznaczać, że jesteśmy głodni i chcemy się najeść. W ten oto skuteczny sposób obrazimy gospodarza. Andrzej Stebel, technik mechanik, uważa Chińczyków za ludzi uprzejmych, za to Justyna Miśków - przedszkolanka, mówi: „Chińczycy są bardzo zawzięci”. Oboje są jednak, zgodni co do jednego: „nie warto tego sprawdzać narażając się zachowaniem na przyjęciu”. Często pojawia się opinia, że Chińczycy za przysmak uważają psy. Prawda jest taka, że jeśli chcemy poznać chińską kuchnię, potrzebna jest nam przede wszystkim odwaga. „Zjeść można wszystko, co łąta oprócz samolotu, wszystko co porusza się po ziemi oprócz pociągu i wszystko co pływa oprócz statku” - mówi chińskie powiedzenie. Na stole czasami pojawia się mięso żmii, rekina, kalmara albo zupa z żółwia. Bernadeta Stebel, technik ekonomista, zaznacza: „nic bym tam nie jadła”. Ważnym elementem chińskiej kuchni, o którym często zapominamy jest herbata. Inne z chińskich przysłów mówi: „Pijmy herbatę by zapomnieć o zgiełku tego świata”. Jej picie w trakcie posiłku ułatwia trawienie i spalanie kalorii, dlatego to również oddzielny rozdział w chińskiej medycynie.

„Chińczycy wierzą w to, że szczęście zależy od tego jak mamy urządzone pokój” - mówi Tomek. Rzeczywiście zdają się oni na stare zasady Feng Shui - sztukę uzyskiwania harmonii pomiędzy człowiekiem a środowiskiem, które zamieszkuje. Ma ona chronić przed złą ener-

gią. Zasady, według których rozmieszcza się przedmioty, są ściśle określone np. by zneutralizować szkodliwe promieniowanie powinniśmy umieścić w pobliżu przedmiotów, które je wydzielają, różowy kwarc. Prawda, że proste?

Jednak nie wszystko jest takie jasne. „Nikt nie wie ile ludzkich istnień pochłonął chiński komunizm, ale są to na pewno dziesiątki milionów” - twierdzi Kasia Klyta - licealistka, poruszając bardzo ważną kwestię chińskiego komunizmu. Większość z nas przyznaje się do kupowania chińskich produktów, chociaż nie są one zawsze najlepszej jakości. Okazuje się, że nie zastanawiamy się nad tym w jakich warunkach powstały, że do ich wyrobu wykorzystano więźniów politycznych. „Niedawno chciałam kupić do mojego młodszego brata prezent urodzinowy. W końcu wybrałam zestaw samochodzików po dosyć niskiej cenie. Odejmując cenę transportu, cło, marżę supermarketu, wydaje się niemożliwe wyprodukowanie zabawki o akurat takiej cenie. A jednak. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że powstała w chińskim obozie pracy. Być może jest efektem pracy nieletniego. Mój brat się nią bawi, a jakiś czas temu chłopak niewiele starszy od niego zajmował się jej składaniem. To straszne!” - kontynuuje Kaśka. Obozy pracy istniejące w Europie w czasie II wojny światowej, w Chinach funkcjonują w dalszym ciągu. „Na rynku pełno jest produktów MADE IN CHINA” - dodaje Rafał. Czy w Polsce ktoś sprzeciwia się takiemu stanowi rzeczy? Tak. Na przykład w Słupsku działa Inicjatywa Na Rzecz Powszechnego Bojkotu Produktów Chińskich. W jej ramach organizowane są pikety informacyjne dotyczące łamania praw człowieka w Chinach. „Na ziemi ułożyliśmy ołtarzyk - chińskie trampki, kajdany, wszystko to otoczone drutem kolczastym, po czym mocno okrasiliśmy wszystko czerwoną farbą. Rozlaliśmy jej tyle, że szeroka na metr płama rozciągała się od ściany do ściany w poprzek tunelu - nikt nie mógł więc przejść obok tego obojętnie, ludzie musieli przystawać, przeskakiwać etc. Kajdany, drut kolczasty, krew - wszystko to miało dość symboliczny obraz współczesnych Chin. Nad tym na ścianie tunelu wisiała flaga Chińskiej Republiki Ludowej i hasła wypisane na papierowych planszach (m.in. Chiny - miejsce pracy - obóz koncentracyjny itd.)” - czytamy w biuletynie informacyjnym tej organizacji. Jednak czy to ma sens? W Chinach zaczęli inwestować przedsiębiorcy z całego świata, zachęceni taną siłą roboczą, ogromnym rynkiem zbytu i udogodnieniami podatkowymi. Obozy pracy będą istniały, dopóki będzie zbyt na tanie zabawki czy ciuchy. A Polacy do najbogatszych nie należą...

Jednych Chiny ekscytują, u innych budzą pogardę. Są też tacy, którzy zostają wobec nich obojętni. Z przeprowadzonych przeze mnie ankiet wynika, że 70% z nas chciałoby tam pojechać: „podoba mi się ten kraj i jego zwyczaje”, „fascynująca przyroda, zabytki”, „kraj o bogatej kulturze i ciekawej historii” ... Resztę przeraża bieda, władza, wyzysk ludzi a nawet kuchnia. „Bardzo ciekawa kultura, choć polityka ma wiele do życzenia” - podsumowuje Kasia.

marti

(marta_s5@interia.pl)

OpenCola czyli open source ITRL

Podczas odbywających się w USA i Kanadzie prezentacji nowego oprogramowania komputerowego można było czasami zauważyć pewien charakterystyczny przedmiot: błyszcząca, srebrna puszka z okrągłym logiem i napisem OpenCola. W środku znajduje się gazowany napój, który smakuje bardzo podobnie do Coca-Coli lub Pepsi. Na puszcze napisane jest jednak jeszcze coś, co odróżnia zawarty w niej napój od innych podobnych: "Sprawdź źródło na opencola.com". Pod podanym adresem internetowym znaleźć można to, czego nie ma na stronach Coca-Coli czy Pepsi – przepis na colę. Po raz pierwszy można ją sobie zrobić samemu w domu.

OpenCola to pierwszy na świecie produkt typu open source, który pojawił się poza rynkiem programów komputerowych. Używając określenia open source producent zgadza się na ujawnienie receptury tego produktu. Każdy może wyprodukować napój i dowolnie modyfikować jego skład pod warunkiem, że receptura pozostanie nadal jawna. Dziwny to sposób prowadzenia interesów – Coca-Cola nie ujawnia swoich sekretów handlowych. I dokładnie o tę różnicę chodzi.

OpenCola to dowód, że dyskusja trwająca od dawna wśród producentów oprogramowania komputerowego wyszła poza ściśle informatyczny świat. To, co rozpoczęło się jako spór między specjalistami wokół tego, jak najlepiej usunąć błędy z programu komputerowego, staje się polityczną debatą nad problemem posiadania i wykorzystywania wiedzy. Dyskusja toczy się między tymi, którzy uważają, że idee powinny podlegać swobodnej i niekontrolowanej wymianie oraz tymi, którzy wolą mówić o "własności intelektualnej". Nikt nie wie, jaki będzie wynik trwającego sporu, ale w świecie rosnącej opozycji wobec korporacyjnych potęg, globalizacji i restryktywnych praw własności intelektualnej, open source pojawia się jako interesująca alternatywa oraz narzędzie politycznej walki. Czytając ten artykuł sama/sam przyczyniasz się do sprawdzenia, jaka jest wartość tego narzędzia.

Ruch open source narodził się w 1984 roku, kiedy programista Richard Stallman odszedł z MIT i stworzył Fundację Darmowego Oprogramowania (Free Software Foundation). Jego celem była produkcja programów komputerowych wysokiej jakości dostępnych za darmo. Stallman występował tym samym przeciw firmom komputerowym, które zabezpieczają swoje produkty patentami i prawami autorskimi i utrzymują w tajemnicy ich kod źródłowy. Stallman uważał, że jest to niewłaściwy sposób postępowania, ponieważ nie tylko prowadzi do powstawania produktów o niskiej jakości i pełnych błędów, ale co gorsza, blokuje swobodną cyrkulację pomysłów. Stallman uznał, że jeśli programiści przestaną uczyć się nawzajem ze swoich programów, sztuka programowania ulegnie stagnacji.

Jednak nie tylko firmy produkujące oprogramowanie zamykają wiedzę w sejfach, dając do niej dostęp jedynie tym, którzy chcą za to płacić. Za każdym razem, kiedy kupujesz płytę CD, książkę, gazetę, czy puszkę Coca-Coli, płacisz za dostęp do czyjejś własności intelektualnej. Za pieniądze uzyskujesz prawo do słuchania, czytania czy konsumowania, ale nie do zmiany samego produktu czy swobodnego kopiowania i rozprowadzania go. Nic więc dziwnego, że ludzie związani z ideą open source zastanawiali się, czy zdałaby ona egzamin w za-

stosowaniu do innych produktów. Nie jest to do końca pewne, ale istnieje kilka interesujących przykładów.

Weźmy OpenColę. Chociaż w zamierzeniu była instrumentem promocyjnym, mającym wyjaśnić, o co chodzi w oprogramowaniu open source, od pewnego momentu zaczęła żyć własnym życiem. Pochodząca z Toronto firma, która wyprodukowała OpenColę stała się znana właśnie dzięki niej, a nie dzięki oprogramowaniu, które napój miał tylko promować. Laird Brown, jeden z dyrektorów firmy, tłumaczy ten sukces powszechną w pewnych środowiskach niechęcią wobec korporacji i wobec świata, w którym wszystko do kogoś należy.

Sukces OpenColi był poniekąd przypadkowy i w żaden sposób nie zagroził Pepsi czy Coca-Coli, jednak w innych dziedzinach pewni ludzie celowo wykorzystują ideę open source, aby walczyć z establishmentem.

Dobrym przykładem jest przemysł muzyczny. W walce prym wiedzie tutaj Fundacja "Elektroniczne Granice" (ang. Electronic Frontiers Foundation, dalej w skrócie EFF) z San Francisco, która powstała w celu obrony swobód obywatelskich w dziedzinach życia związanych z technologią cyfrową. W kwietniu 2001 roku EFF stworzyło Otwartą Licencję Muzyczną (ang. Open Audio License, dalej w skrócie OAL) napisany w duchu copyleft model licencji open source dla produktów muzycznych. Dzięki niej muzycy, zamiast walczyć z pewnymi cechami produktów cyfrowych – takimi jak łatwość kopiowania i dystrybucji – mogą je wykorzystywać. Muzyka objęta OAL może być swobodnie kopiowana, wykonywana, zmieniana i wydawana ponownie, pod warunkiem, że nowe utwory są również objęte licencją OAL. Muzycy mogą uzyskać rozgłos dzięki swobodnej dystrybucji swoich dzieł. "Jeśli ludziom podoba się muzyka, będą wspierać artystę, żeby mógł tworzyć nadal" – mówi Robin Gross z EFF.

W oprogramowaniu komputerowym metoda open source pozwala na ulepszenie programu poprzez eliminację błędów i poprawę źle skonstruowanych części kodu źródłowego. Nie bardzo wiadomo, jak miałyby coś podobnego wyglądać w muzyce, której natura jako produktu niezbyt pasuje do idei open source. Również utwory dostępne na stronach WWW promujących OAL (na przykład <http://www.openmusicregistry.org/>) to w większości pliki MP3 lub Ogg Vorbis, a więc formaty, pozwalające słuchać, ale nie modyfikować. Nie bardzo również wiadomo, dlaczego jakikolwiek artysta głównego nurtu miałby korzystać z licencji OAL. Wielu muzykom nie podobało się to, jak użytkownicy Napstera rozpowszechniali utwory bez zgody i wiedzy autorów, czemu więc teraz mieliby zgodzić się na niczym nie ograniczoną dystrybucję muzyki i jej dowolne modyfikacje? Trudno oprzeć się wrażeniu, że open audio to możliwość zaprezentowania swojej muzyki atrakcyjna wyłącznie dla nieznanych artystów.

Bardziej obiecującą dzieciną wydają się być encyklopedie. Podobnie jak oprogramowanie, powstają w wyniku współpracy większej grupy ludzi, składają się z wielu modułów i potrzebują nieustannej aktualizacji. Pierwsza z prób stworzenia darmowej encyklopedii internetowej o nazwie Nupedia (<http://www.nupedia.com/>) nie skończyła się wielkim sukcesem – w ciągu dwóch lat z zamierzonych 60 tysięcy haseł powstało zaledwie dwadzieścia pięć. "Przy obecnym tempie nig-

dy nie będzie to duża encyklopedia" – mówi jej główny redaktor Larry Sanger. Problem tkwi w tym, jak zmotywować do pracy potencjalnych autorów haseł. Nupedia nie może im zapłacić, a za wykonaną pracę nie zdobywają oni uznania wśród kolegów po fachu, jak ma to miejsce w przypadku Linuxa. To jest problem dotyczący wszystkich projektów z grupy open source: jak zachęcić ludzi do brania w nich udziału? Sanger bada możliwości zarabiania na Nupedii przy jednoczesnym utrzymaniu swobodnego dostępu do zawartej w niej wiedzy. Jedną z możliwości są banery reklamowe, jednak o wiele lepszym rozwiązaniem byłoby zachęcenie naukowców do cytowania Nupedii, dzięki czemu autorzy haseł zyskiwaliby rozgłos i uznanie.

Jest też inna możliwość: zaufać dobrej woli i intencjom entuzjastów open source. Rok temu Sanger, zawiedziony powolnym tempem tworzenia Nupedii, rozpoczął realizację innego projektu, zwanego Wikipedią (<http://www.wikipedia.org/>, polska Wikipedia: <http://pl.wikipedia.org>). Jest to o wiele swobodniejsza przestrzeń ekspresji, gdzie każdy może tworzyć lub edytować hasła; wyjaśnia to poniekąd obecność licznych wpisów na temat piwa i Star Treka, ale jest również kluczem do sukcesu Wikipedii. "Ludziom podoba się idea, że wiedza powinna być swobodnie dostępna i rozprowadzana bez ograniczeń" – mówi Sanger. Z czasem tysiące użytkowników powinno wyeliminować błędy i wtedy Wikipedia stanie się wiarygodnym źródłem wiedzy zawierającym setki tysięcy haseł.

Innym eksperymentem, który może okazać się ważny, jest projekt OpenLaw (<http://eon.law.harvard.edu/openlaw/>) prowadzony w Centrum badań nad Internetem i Społeczeństwem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Harvarda. Prawnicy uczestniczący w tym przedsięwzięciu specjalizują się w prawie z dziedziny komputerów i wysokich technologii – hackerstwo, prawa autorskie, algorytmy szyfrowania itd. – a samo centrum współpracuje z EFF i innymi organizacjami promującymi standard open source. W 1998 roku pracujący na Harvardzie Lawrence Lessing, obecnie prawnik na Uniwersytecie Stanforda, został poproszony przez internetowego wydawcę Eldritch Press o wniesienie sprawy przeciw prawom autorskim obowiązującym w Stanach Zjednoczonych. Eldritch wyszukiwał książki, których prawa autorskie wygasły i publikował je na stronach WWW; nowy projekt ustawy przedłużającej okres wygasania praw autorskich z 50 do 70 lat był mu bardzo nie na rękę. Lessing zaprosił studentów z Harvardu do udziału w otwartym forum on-line, gdzie rozpoczęła się debata na temat prawnych możliwości zakwestionowania tejże ustawy. Z biegiem czasu forum wyewoluowało w projekt OpenLaw.

Normalne firmy prawnicze przygotowują argumenty procesowe w taki sam sposób, w jaki firmy komputerowe tworzą kod źródłowy oprogramowania. Prawnicy dyskutują za zamkniętymi drzwiami i chociaż ostateczny produkt debaty zostaje ujawniony w sądzie, treść dyskusji, czyli "kod źródłowy", pozostaje tajna. OpenLaw działa inaczej – argumenty są formułowane w publicznej debacie i objęte licencją typu copyleft. "Celowo za model przyjęliśmy sposób tworzenia darmowego oprogramowania" – mówi Wendy Selzer, który przejął opiekę nad OpenLaw, kiedy Lessing przeniósł się na Stanford. Obecnie około 50 prawników pracuje nad sprawą Eldritch Press, a OpenLaw zaangażowane jest również w inne sprawy. "Korzyści są takie same jak w przypadku oprogramowania" – mówi Selzer. "Setki osób przeglądają 'kod' w poszukiwaniu błędów i sugerują,

jak je usunąć. Inni zajmują się rozwijaniem nowych aspektów sprawy, a później dzielą się efektami swojej pracy z resztą zespołu." Działając w oparciu o takie metody OpenLaw doprowadziło sprawę Eldritch – uznawaną na początku za niemożliwą do wygrania – aż do Sądu Najwyższego i obecnie oczekuje na jego wyrok.

Istnieją też oczywiście słabe strony opisanej strategii. Argumenty są publicznie znane od samego początku, więc OpenLaw nie ma możliwości zaskoczenia swojego przeciwnika w sądzie. Z tych samych powodów nie może zajmować się sprawami, w których wymagana jest tajność czy poufność. Jednak w przypadkach, kiedy w grę wchodzi interes publiczny, strategia typu open source okazuje się bardzo skuteczna. Członkowie różnych grup działających na rzecz swobód obywatelskich wykorzystują osiągnięcia OpenLaw w innych sprawach. "Ludzie używają ich, pisząc listy do Kongresu lub drukując ulotki" – mówi Selzer.

Ruch open source jest ciągle w dość wczesnej fazie rozwoju i trudno przewidzieć, jak dalek potoczą się jego losy. "Nie jestem pewien, czy open source ma zastosowanie w wielu dziedzinach ludzkiej aktywności" – mówi Sanger. "Jeśli ma, to będziemy się nimi zajmować". Eric Raymond również nie kryje wątpliwości; w znanym eseju z 1997 roku zatytułowanym Katedra i bazar ostrzegał przed stosowaniem metod open source do innych dziedzin twórczości: "Muzyka i większość książek nie przypominają oprogramowania, ponieważ nie trzeba usuwać z nich błędów ani ciągle ich ulepszać." W takiej sytuacji produkt zyskuje bardzo niewiele dzięki pracy innych ludzi, więc korzyści z ujawnienia kodu i swobodnego rozpowszechniania są również małe. "Nie chcę osłabić wartości podejścia open source do oprogramowania, próbując zastosować je w kwestiach, gdzie nie zdaje egzaminu" – napisał. Jednak od tamtego czasu poglądy Raymonda uległy pewnej zmianie. "Wydaje mi się, że w przyszłości ideę open source będzie można zastosować w innych dziedzinach niż oprogramowanie" – powiedział w wywiadzie dla New Scientist. "Teraz jest jeszcze na to zbyt wczesnie". Trzeba poczekać aż oprogramowanie open source wygra walkę z podejściem tradycyjnym. Jego zdaniem stanie się to około roku 2005.

Tak więc eksperyment trwa. W jego ramach New Scientist (<http://www.newscientist.com>) i AlterNet (<http://www.alternet.org>) postanowiły opublikować niniejszy artykuł zgodnie z ideami copyleft. Oznacza to, że każdy może rozpowszechniać i przedrukowywać go w całości lub w częściach i dowolnie przerabiać, pod warunkiem, że efekt swojej pracy udostępni w standardzie open source. O ile mi wiadomo, jest to pierwszy raz, kiedy artykuł z pisma naukowego zostaje objęty licencją copyleft. Jaki będzie tego efekt? Nie wiadomo. Być może tekst zniknie bez śladu, a może będzie kopiowany, rozprowadzany, tłumaczony i przerabiany. Nie wiem – ale na tym to wszystko polega. Teraz nie zależy to już ode mnie. Decyzja należy do wszystkich.

Graham Lawton
Tłumaczenie Jan Sowa

INFORMACJA ZAWARTA W TYM TEKŚCIE JEST UDOŚTĘPNIANA ZA DARMO. Tekst może być kopiowany, rozpowszechniany i/lub modyfikowany zgodnie z zasadami opisanymi w Design Science License autorstwa Michaela Stutza dostępnej pod adresem <http://dsl.org/copyleft/dsl.txt>. W przypadku rozprowadzania lub wykorzystywania polskiego przekładu, prosimy o wysłanie informacji na adres redakcja@ha.art.pl.

„Sprawę Nieznalskiej” komentuje Laura Paweła: - :) chcesz żebyś poszła do więzienia opowiadając się jakoś nie tak jak trzeba? :) Oczywiście nic się takiego nie stało (na bieniale wisi akrobata w formie chrystusika i nikt się nie skrzywił, mało tego, na poznańskim rynku stoi kilka pokazanych herosów mitorajowych z pięknymi męskimi klejnotami, nikt nawet oczka nie zasłonił, ha, zdjęcia sobie ludzie z tymi fiutkami robią i mówią, że to dopiero jest sztuka nie takie tam nieznalskie! a nadzy ci heroski stoja całkiem blisko kościoła - takie dygresyje), żadna wybijająca z równowagi praca. Nic takiego. cały problem stworzono sztucznie, medialnie, bez potrzeby. Moze brakowało tematów do dziennika wieczornego? A tak poważnie - obawiam się jako artysta, że podobny precedes sprawi coraz częstsze sądowe spotkania z artystą. Boję się, że za każde nie wygodne społecznie i moralnie wystąpienie artysta będzie od razu skazywany. Nigdy nie myślałam pod kątem tego, czy kogos obrazę, teraz tak patrzę na swoje prace. To przerażające.

Siła Mediów, siła głupoty

Co zrobić by zostać geniuszem? Niedawno na tak zadane pytanie dostałem prostą receptę: „Trzeba być albo popierdolonym albo pojebanym”.

W ostatnim czasie zetknąłem się z dwoma przypadkami bardzo zaawansowanej choroby psychicznej, które poza symptomami umysłowego rozchwiania nie prezentowały nic, co mogłoby pretendować do miana geniuszu - co prawda nie wypada oceniać artystów za życia, bo o nich tu mowa, z reguły wielkość przedstawicieli tej grupy społecznej zauważana jest dopiero, gdy dany osobnik znajdzie się już na łonie Abrahama. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w przypadku wyżej wymienionych do czynienia miałem jedynie z samozwańcami krzewicielami tzw. sztuki uduchowionej, nazywanej także w niektórych kręgach pozytywną.

Pierwszy z artystów miał niewiele do powiedzenia, więc ktoś uznał, że należy pomóc jemu i jego twórczości. W maleńkiej sali akademika, pani, której nazwisko sugeruje, że dotąd pozostawała w cieniu, zapragnęła obnażyć (dosłownie) miałość katolickiej wiary made in Poland. Skończyło się na ukrzyżowanym penisie i płynącej, niczym pot płynący po silnych ramionach pana stekającego na załączonej do pracy instalacji wideo, refleksji, że grono wyrośniętych młodzieńców przerzucających każdego dnia tony żelastwa to tajemna sekta cierpiętników, mesjaszy zbawiających świat na ławeczce treningowej, natomiast siłownia jest współczesną świątynią, w której odprawiane są niezwykle misteria. Wystawa cieszyła się znikomą frekwencją, a jej jedynymi widzami mogliby pozostać rodzice, krewni i najbliżsi znajomi artystki, gdyby nie pomysł by przybliżyć światu sylwetkę twórczyni. Opinii publicznej nie spodobała się wizja pani plastik, i postanowiono wymierzyć jej sprawiedliwość, oddać pod sąd za obrazę uczuć religijnych. Tylko kto tu kogo obraził. Znowu znaleziono kozła ofiarnego, takiego jakiego znaleźli XIV-wieczni mieszkańcy północnych regionów Francji, zwłaszcza miasta Arras i takiego samego jakiemu książkę poświęcił Rene Girard. Nieznalska nikogo by nie obraziła, bo nikt jej pracy by nie zobaczył prócz wąskiego grona zwolenników jej sztuki - to media postanowiły nagłośnić sprawę z racji braku innego materiału w sezonie ogórkowym i nadać jej szeroki kontekst natury etyczno-moralnej, to one obraziły uczucia religijne milionów katolików w Polsce, którzy siedząc przed telewizorami mogli zobaczyć wizerunek ich najświętszego symbolu skalany narzędziem służącym zaspokajaniu popędów, ucieleśnieniu fizjologii i rozpusty. To dzięki gazetom zobaczyli zdjęcia pracy i to w radiu słuchali audycji zakłócających spokój ich ducha. Media winne są całej afery, jednak nikt z przedstawicieli mass-mediów nie stanął przed sądem, czy przeprosił tych którzy poczuli się urażeni. Została wyrządzona krzywda wyznawcom i Nieznalskiej, która w blasku reflektorów, nie przyzwyczajona do światła kamer i fleszów aparatów nie potrafiła nawet składnie bronić swego dzieła i sprawnie sterować medialną prowokacją tak, by odpowiednio wylansować własną osobę.

Karą dla słabych artystów jest niebycie, medialny niebyt, społeczny niebyt, środowiskowa izolacja, banicja i niemożność pokazywania prac w renomowanych galeriach, nie są od tego sądy - bo nie da się zmierzyć wielkości obrazów Breughla, ciężkości filmów Bergmana, czy precyzji wykonania mazurków Chopina kodeksem karnym. Na dziennikarzu ciąży winna od-



powiedzialność za ujawnianie pewnych informacji. Telewizja spełnia funkcję współczesnej sanctum officium - ona kształtuje gusta, sugeruje co jest, ważne, a co nie. Pewien fachowiec od reklamy powiedział mi, że jeśli ktoś zapewni mu codziennie przez miesiąc 5 minut najlepszego czasu antenowego w dużej ogólnopolskiej telewizji to jest w stanie przez ten czas uczynić z lampy wiszącej - żyrandola narodowego idola.

Wpadam w pułapkę: jakim prawem komentuję całą sprawę skoro mam do niej taki stosunek, krytykuję media za brak wstrzemięźliwości a sam podejmuję temat. Jednak zacytnikiem do owego artykułu miała być próba odpowiedzi czy postawione przez prasę, później podchwyczone przez środowiska katolickie, zarzuty były słuszne: czy praca bezcześciła symbol męki pańskiej? Pytanie to należy postawić szerzej: gdzie są granice artystycznej wizji i czy takie w ogóle istnieją? Czy artystycznym tworzywem mogą być odwieczne symbole, pomniki martyrologiczne? Wydaje mi się, że w sztuce cel powinien uświęcać środki, tak więc artysta kierować musi się zasadą subsumcji - podporządkowywania założeń celowi. Jeśli wykorzystywać świętości, służące wzmocnieniu przekazu, to tylko wtedy gdy atakuje się ludzką obłudę, draństwo, głupotę. Nie da się tego powiedzieć o pracy Nieznalskiej, nie da również o pracach polskiej artystki osiadłej w USA, sprzedającej pamiątki z miejsca kaźni milionów Żydów i Słowian ociemniałym Amerykanom, którzy nie wiedzą przecież czym jest Oświęcim dla Polaka. Wychowany zostałem na opowiadaniach Mrożka i Topora, ale z tak groteskowym pomysłem jeszcze się nie zetknąłem: breloczki z napisem „arbeit macht frei”, torebki w pasiaki, misie z trupami czaszkami! Można by to nazwać sztuką, sztuką użytkową. Dlaczego inaczej patrzę na wystawę Liberty, układającego obóz koncentracyjny z klocków lego? - bo uważam, że taka wizja jest prawdziwa, że coś przekazuje, puentując zachowania polskich artystek: wystawiamy na sprzedaż wszystko, sprzedajmy własne uczucia, wiarę; Oświęcim można kupić w sklepie z gadżetami, a krzyżem palić w piecu (jak w filmie Emmano Olmiego „Rzemiesło Wojenne”). Ale cóż znajdują się przecież tacy, którzy zaślaniać się będą Wildowskim „sztuka dla sztuki” - i to jest najstraszniejsze.

ewaryst gamelin
(ekhardt_7@poczta.fm)

disfelietonu nie będzie

Nie mogę się zebrać do napisania tego felietonu. Taki brak weny może być samo w sobie dosyć inspirowany. Można by przecież dokładnie opisać okoliczności przyrody towarzyszące owej niemocy. Dopijam kolejną kawę, sepię kolejnego papierosa, w radiu kolejny przebój. Ta piosenka leci chyba trzeci raz, mówi Ania. Za oknem jak zwykle ciemno. Gdy stąd wyjde, wrócę dopiero za dwa tygodnie. Dlatego muszę dziś zamknąć ten numer. Brakuje tylko felietonu.

Mógłbym napisać o kampanii reklamowej Wyborczej. O próbie ratowania wizerunku nadzarpniętego przez „sprawę Rywina” lub czasopisma. O tym jak dwuznacznie brzmi hasło przewodnie kampanii. Mógłbym to spuntować stwierdzeniem, że mi tam jest wszystko jedno, ale zrobił to już felietonista Rzepy.

Mógłbym napisać o Papieżu, który podobno miał szansę na Pokojową Nagrodę Nobla. O tym, kto ową nagrodę dostawał w poprzednich latach. O wątpliwościach, czy działalność Jan Pawła II winno się uhonorować tą nagrodą. Czy można tu mówić o uhonorowaniu. O tym, że nie potrafię wskazać nikogo innego kto robi tak wiele dobrego, tak bezinteresownie, ponad podziałami, poza aferami. Mógłbym polemizować ze wszystkimi, którzy mają mu za złe brak zgody na homoseksualizm, aborcję i eutanazję. Mógłbym napisać parę zdań o nagminnym wymienianiu tych dwóch ostatnich jednym ciągiem. Mógłbym wreszcie napisać parę cierpkich słów na temat laurka z okazji 25 lecia pontyfikatu, „smsów do papieża” itd.

Mógłbym również napisać o tegorocznej nagrodzie Nike. O tym, że średnia wieku startujących wynosiła 67 lat. Tak na marginesie mógłbym poświęcić parę zdań blogowi „kumple”, gdzie znalazłem tą informację). Mógłbym napisać, że tą średnią zaniżyła Masłowska. I że Masłowska „Nike” nie dostała. I że dostała paszport Polityki, a ja tylko Polsatu. Mógłbym napisać o tym, że w końcu przeczytałem „Wojnę”. I o tym co o nich myślę. O „Wojnie” i o Masłowskiej znaczy.

Mógłbym napisać o tym wszystkim, ale jakoś nie mam weny. Każde kolejne zdanie wychodzi jeszcze bardziej kanciaste od poprzedniego. Żadnej puenty też nie wymyślę. **dis**



re.sentymenty: Lekko zakurzona kasetka

To było siedem lat temu. Odbita na ksero wkładka zaczyna powoli żółknąć. Jak przez mgłę pamiętam jak robiłem ją w Pagemarkerze. Na okładce wycięte z gazety zdjęcie z pierwszej w naszym mieście "antyfaszystowskiej" demonstracji. Demonstracji na którą nie poszedłem.

Zespół Infarctus istniał kilkanaście miesięcy, zagrał parę koncertów. Powieloną w bodajże stu egzemplarzach kasetę nagrano w domu kultury na tzw. setkę.

"Myśl, tworz, działaj". To oczywiście musiał być punk. Nieskomplikowany, szybki i zadziorny. Muzyka i słowa niósły złość. Naszą złość. Na wokalu Agata (wołałem Rybkę) i Jasiu z charakterystycznymi pejsami. Gitara i perkusja to dwaj bracia: Karol i Kenneth. Później Jasiu studiował socjologię, a Karol uczył się na celnika. Kennetha ostatni raz widziałem gdy był jeszcze w liceum, nosiłem jeszcze wtedy na ręce opiółowane przez niego kółko od mercedesa. Na basie grał Góral. Z dnia na dzień, ni-

czym Sid, staczał się coraz bardziej. Teraz mnie nie poznaje. Mam zdjęcie, gdzie siedzi u mnie na łóżku obejmując Danke. Spotkałem ją niedawno. Tyle chciałem jej powiedzieć. Pogada-
liśmy chwilę o niczym.

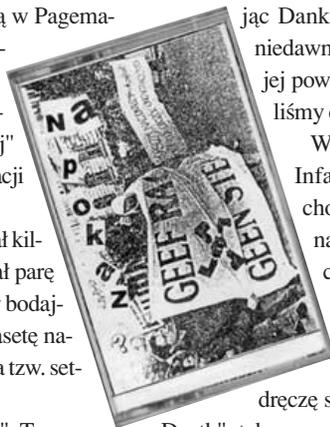
Wyłączam kasetę Infarctusów (co do cholery znaczyła ta nazwa?). Masz raczej skarbie, tego się nie da słuchać. Starzejemy się. Ostatnio

dreczę się "Cool Kids of

Death", taka perwersyjna fascynacja. Strona w internecie, promocja w Wyborczej, teledyski w Polsacie 2. Wtedy piec wozilo się maluchami rodziców modląc się by starczyło benzyny, a na próby adoptowało garaże. Bunt - mimo, że infantylny - był szczerzy.

Wziąłem do pracy empetrójki Pi-dzamy. "Dobrze pamiętam tamten czas..." mruczę pod nosem wraz z Grabieżem, gdy wokół trwa piekło. Wszystko ma swój czas.

dis



Technopornografia

Siedzieliśmy we trójce: Kobieta, Którą Kocham, mój przyjaciel i ja. Przyjaciel jechał akurat na szkolenie firmowe, więc dostał służbowego laptopa. Uprosiłem go, żeby mi go pokazał, a gdy to zrobił... gdy zaszumiał wentylator na procesorze... gdy zaterkotała stacja dyskieta przy sprawdzeniu boota systemowego... gdy cichutko zaśpiewał twardy dysk... gdy zabłyszczały kontrolki... To było jak... Jak wtedy gdy piękna kobieta wchodzi do pokoju, siada naprzeciw Ciebie i zakłada nogę na nogę, a spod kusej sukienki widzisz zakończenie jej ud na ciemnozielonych majteczkach. Pogłaskałem klawiaturę, dotknąłem ekranu, przesunąłem dłońmi po jego zakończeniach, a Kobieta Którą Kocham zaczęła się ze mnie śmiać. Powiedziała, że to chyba obrzydliwe. A ja w tym momencie zrozumiałem słowa Molly z „Neuromancera”, które kieruje

do Case'a: "Widziałam, jak głaskałeś to swoje Sendai. To było jak pornografia". Być może po części jestem fetyszystą techniki - choć nie w wymiarze seksualnym, raczej uwielbiam podziwiać tę technikę. Ba, nawet nie używam tej high-tech. Uwielbiam telefony o kosmicznych kształtach, a mam tylko Alcatela OT 511, zachwyam się nad laptopem Fujitsu z serii Lifebook, choć sam mam tylko Californię Access 2200 - czyli złom z procesorem P 166 MMX i 32 MB RAMU. Mimo to uwielbiam swój telefon i z przyjemnością siadam przed komputerem, poklepując go jak starego przyjaciela. Kocham lustrzane okulary (pierwszy, kultowy zbiór opowiadań cyberpunka nosił tytuł „Lustrzanki”), uwielbiam duże miasta, szybkość, agresywność. Poruszam się po sieci bez strachu.

KeeperoftheSevenKeys.blog.pl
(keeperofthesevenkeys@o2.pl)

Zaiwaniem

Nieśpiesznie zaiwaniem do fabryki zajeżdżając po drodze drogę temu sukinsynowi w saabie co to mi był pierwszej pierwszeństwa poskapił i lookając w jego zdziwione niepomiernie oczęta krasne wrzucam cztery i zostawiam poczerwieniałą mordę we wsteczny. Jak zwykle z piskiem wpadam na parking, zbiegam po schodach pół metra (cały metr to aż na peron) i wyjmuję z bańkomatu stóweczkę. Facet w barku nie ma wydać więc dostaję dwie podłużne na krechę. Krecha do obiadu - jeszcze nie wie, ja też nie. Grzeję do windy cofnąwszy się uprzednio bo mi się przypomniało, że zapomniałem zapalić przed robotą a potem wiadomo - robota i czasu nie ma. Wyssawszy zatem resztki dymu z filtra winduję się na pięterko i wraz z wciskiem pałeru w kombie odbieram pierwszy telefon. Szefowa.

- Zajrzałyś tu do konferensal. Mamy do pogaworzenia żdziebko.

- Zara. Kawy, zem nie żłopał jeszcze - odburkuje i prze-myśliram, że i zajarac po kawie przydałoby się.

Czynię podług obmyślunku. Kiedy znowu winduję się na pięterko przypomniało mi się, że szefowa chce pogaworzyć. Niechętnie przesuwam palucha na przycisk wyżej i jadę. Konferens pusty więc idę po kawę. Klaniają mi się po drodze, uśmiechają... Patrzę czy mam zapięty rozporek. Mam. Zapięty. Nachylam się przy ladzie w recepcji; tą razą z dodatkowego powodu (pierwszy to popatrzeć w cycki jakieś - nisko tak siedzą). W ladzie lustrzącej patrzam na swój pysk zarośnięty i nic nie widzę poza syfkiem co mi wykwił znowu na brodzie. Ha - ale śmieszne - myślę i idę do konferense.

Pusto. Wracam się do szefowej bo może zapomniała już przez ten czas kiedy się dostrajałem dopalaczami. Jest. Gada.

Nagadała się.

- Idź, se siendnij a ja zara przyjdę.

Siadłem i chłodno mnie się wydało. Patrzę a tu klima na minus piętnaście ustawiona to ją myk. Na plus trzydzieści. Weźmie się szefowa rozgrzeje to może i rozepnie. Tfu, tfu. Przystawiam na plus pięć.

Nie ma - to i nie będę siedział jak ten chuj na weselu. Idę

po kawę. Biorę w plastyku. Asystentka uśmiechnęła się spod ła (akurat wmiksowałem się jej między dzbanek a mleko). Kontrola rozporka. Wporzo. Nie rozpiął się. Macanko syfka. Jest. Nie urósł. Co jest? - se myślę. Nie podrywa mnie chyba. Nie! Ona coś wie. Bliżej koryta to i pewnie...

Nie myśl! Wracam się z kawą. Są już. Miny takie jakieś. Stawiam kawę na jakimś kwicie. Kurwa, prawie nie rozlałem. Że w mordę jak? No tak. Wylali mnie z tej durnej roboty na pysk. Ech.

- Gdybyś miał jakieś pytania to słuchamy.

Buuu, ty! - myślę se. Jakbym miał ale nie mam. Skądę się taka roztomiła zrobiła.

Po chwili dłuższej jak dzień bez jedzenia ona znowu.

- Nie jesteście chyba zaskoczony?

Tjjjaaa - myślę sobie - a widzisz ty mój wzrok niezaskoczony? Szczęściem, że brwi na oczy zapaściłem bo by cię mogło zabić niewiasto! Zaparafowałem i ta druga spuściła powietrze. Szczęściem ustami spuściła. Myślała pewnie, że ją rypnę z bańki na pożegnanie. Niedoczekanie, przyjemności nie w tym gronie.

Zwindowałem się nieśpiesznie. Szlug, kawa, szlug. Karton. Cztery szuflady myk do kartonu. Z biurka przegarnąłem prosto do kosza - w sumie świeże kwity to w koszu najłatwiej znaleźć, nie? Spadam. Siemka. Piszcie jakby co papierowe listy.

- Pa, buziaczki - zawsze szarmancki byłem na pożegnanie.

Zwindowałem się koło cerberów. Już się te drzwi rozjechały i buchnęło świeżuteńkim dymem z palarni aż tu nagle mnie dopadło. No zaczęło mnie gryźć jak jasna cholera. Dwa kroki w przód, jeden w tył. Tak. Nie. No nie - muszę. No że niby nie pracuję już i że mnie nie ma. Ala nie mogę. No nie mogłem.

Naprawdę, uwierzcie, wziąłem i poszedłem do barku i oddałem im te siedem pierdolonych złotych co to rano mi dał dwie długie na krechę. Ech... Teraz mogę spać spokojnie.

Klangor (klangor@op.pl)

Ciąg dalasz: [www.clubing.pl->forum->proza->\"tym co to...\"](http://www.clubing.pl->forum->proza->\)

Mim II (król chce słowo zabić)

Pierwszy: - Wśród suchych błot, na wysokim i bardzo złotym tronie siedział król bardzo stogi, od starości i deszczów pleśnią pokryty.

Drugi: - Pewnego dnia oślepił go blask słowa (przed snem król słuchał pieśni nadwornych i liryków); więc zesłał król poetów na wygnanie.

Pierwszy: - Ale rzecz jeszcze do błazna: - Nie widzę już nie słyszę ale rozkazywać potrafię. Słowo jest wielkim w żebrach moich kamieniem. Jest wielkim kamieniem na mojej mądrości. A bywa zbyt zuchwałe. Zamiast budować półprawdy, staje się prawdą. Każ błaznie Słowo leczyć. Poetów tymczasem przepędzimy do diabła. Akcja nie powinna napotykać na przeszkody.

Drugi: - Przywołano cyrulików. Dokonano przeszczepów. A słowo wciąż byłomitością i dobrem. Więc zaszczuto otuchę. Zdeptano Wielki Wóz Wiary. Mędrcom rozbito kalejdo-

skopy. Pieśniarzom, nawet tym co padali na kolana, knebłowano usta. Nadzieja porośla zwątpieniem. Kąkol i chwasty rodziły nowy język.

Pierwszy: - I od tej pory lud porozumiewał się tylko milczeniem. I nikt z królewskich szpiegów nie mógł donosić. Drugi: - Wkrótce stracił mowę i sam władca.

Pierwszy: - I wtedy

Drugi: - I wtedy zapanował kolejny tyran i znowu usiadł na bardzo wysokim i bardzo złotym tronie. I też wkrótce rozkazał zabić Słowo. Lecz słowo wzięto na swoje barki krzyż i zeszło do piwnic pałacu i w ten sposób ocaliło swoją godność i suwerenność.

Pierwszy: - A pijani rycerze tańczyli aż do wystrzelania knypli ostatnich.

galathea
(galadea@o2.pl)